



SASHA  
GREY

KLUB  
JULIETTY

# 1



Uwierzylibyście, gdybym wam powiedziała, że istnieje tajny klub, do którego należą wyłącznie najbardziej wpływowi ludzie w społeczeństwie: bankierzy, bogacze, magnaci prasowi, dyrektorzy generalni, prawnicy, wysoko postawieni policjanci, handlarze bronią, najwyżsi rangą wojskowi, politycy, urzędnicy rządowi, a nawet hierarchowie Kościoła katolickiego?

Nie mówię o iluminatach, Bilderberg Group, Bohemian Grove czy innych beznadziejnych stowarzyszeniach, jakimi na co dzień zajmują się wariaci od wszelkich teorii spiskowych.

Nie. Ten klub wydaje się dużo bardziej niewinny.

Na pierwszy rzut oka.

W rzeczywistości jest zupełnie inaczej.

Jego członkowie spotykają się nieregularnie, w sekretnych miejscach. Czasem odległych, a czasami ukrytych tuż pod naszym nosem. Jednak nigdy nie jest to to samo miejsce. Zwykle nie znajduje się ono nawet w tej samej strefie

czasowej.

Na tych spotkaniach członkowie klubu... Nie owijajmy w bawełnę i nazwijmy ich panami wszechświata zdolnymi wstrzymać ruch planet. A więc ci panowie wszechświata wykorzystują swe tajne spotkania jako odskocznię od ważnego i stresującego zajęcia, jakim jest czynienie świata jeszcze bardziej popieprzonym, niż jest w rzeczywistości, i wymyślanie jeszcze bardziej sadystycznych i pokrętnych sposobów na torturowanie, zniewalanie i zubażanie ludzkości.

A co robią, gdy nie pracują i chcą się zrelaksować?

To chyba oczywiste.

Pieprzą się.



Widzę, że nie jesteście przekonani. Pozwólcie, że ujęę to tak. Czy kiedykolwiek spotkaliście mechanika, który nie miałby słabości do samochodów? Profesjonalnego fotografa, który nigdy nie zrobi zdjęcia, jeśli światła w studiu nie będą zapalone? Piekarza, który nie je chleba?

Więc nasi panowie wszechświata — po raz kolejny nie owijajmy w bawełnę — są profesjonalnymi jebakami. Przelecą cię, żeby zdobyć nad tobą przewagę. Zerzną cię, żeby dotrzeć na szczyt. Wyruchają z pieniędzy, wolności i czasu. I będą cię pieprzyć tak długo, aż trafisz do piachu. Choć nawet wtedy nie przestaną.

A zatem co robią, kiedy się nie pieprzą? To oczywiste...

Kolejna rzecz, którą musicie wiedzieć, to fakt, że

wpływowi ludzie są jak celebryci. Lubią trzymać się razem, powtarzają do znudzenia, że nikt inny nie rozumie, jak to jest być jednym z nich, i dlatego trzymają się razem. Prawda jest taka, że nie chcą zadawać się z gorszymi od siebie, z pospółstwem, z nieokrzesanymi i niedomytymi, z ludźmi uwielbiającymi patrzeć na upadek bogatych i wpływowych. A jedyne, co tych drugich może zatrzymać w wędrówce na szczyt, to seks.

Tak więc nasi panowie wszechświata, profesjonalne jebaki, obmyślili, jak dostać wszystko, czego pragną, i spełnić swoje najdziksze i najbardziej wyuzdane seksualne fantazje, nie wywołując przy tym skandalu. To tak jakby ktoś twierdził, że potrafi puszczać bąki tak, by nie śmierdziało. Oni w każdym razie... robią to za zamkniętymi drzwiami. Wszyscy razem. W tajemnicy.

Henry Kissinger powiedział kiedyś, że władza to największy afrodyzjak. Kiedy te słowa padły, pełzał już wystarczająco długo po korytarzach władzy, by wiedzieć, co mówi. To miejsce jest potwierdzeniem słów Kissingera.

Możecie je nazwać: „500 Największych Jebaków”.

„Ligą Niemoralnych Skurwysynów”.

„Światowym Rżnięciem”.

Albo „Zorganizowaną Grupą Jebaków”.

Oni nazywają je Klubem Julietty.



Proszę bardzo. Wygooglujcie go. Niczego nie znajdziecie. Absolutnie niczego. Na tym polega cały sekret. A jednak

czegoś możecie się dowiedzieć. Istnieje pewne tło, pewna historia.

Klub Julietty zawdzięcza swoją nazwę jednej z dwóch sióstr, bohaterek wymyślonych przez markiza de Sade (druga miała na imię Justine). Seksualne przygody osiemnastowiecznego francuskiego arystokraty, libertyna, pisarza i rewolucjonisty tak oburzyły francuską arystokrację, że zamknięto go w Bastylii za obsceniczność. Co, patrząc z perspektywy czasu, było naprawdę fatalnym posunięciem, ponieważ siedząc w celi i nie mając nic lepszego do roboty, jak dniami i nocami walić konia, markiz znalazł inspirację do tworzenia jeszcze większych sprośności.

W więzieniu napisał największe dzieło literatury erotycznej, jakie widział świat. *Sto dwadzieścia dni Sodomy*. Książkę, która pod względem perwersji seksualnych i przemocy prześcignęła nawet Biblię. A do tego jest niemal tak samo długa. Oczywiście ten sam markiz krzyknął z okna swej celi do stojących w dole tłumów, że powinny przypuścić szturm na Bastylię, i tak, nieumyślnie, dał początek rewolucji francuskiej.

Wróćmy jednak do Julietty mniej znanej z dwóch sióstr. Wcale nie dlatego, że jest spokojniejsza. Co to, to nie. Justine jest trochę nudna i pruderyjna, lubi być w centrum uwagi i robi z siebie ofiarę, aż człowiek ma jej dość — jak te celebrytki, w kółko gadające o swoim uzależnieniu od narkotyków i seksu, chłonna każde słowo doktora Drew i niestrudzenie promujące swoją osobę w każdym reality show, którego uczestnicy przed kamerami wychodzą z

nałogu.

A Julietta? Julietta to kobieta pozbawiona skrupułów, jeśli chodzi o seks, morderstwa czy cielesne rozkosze, jakich do tej pory nie skosztowała. Pieprzy się i zabija, zabija i się pieprzy, a czasem robi obie te rzeczy naraz. Zawsze unika kary i nigdy nie musi płacić za swe występki i zbrodnie.

Może teraz zaczniecie rozumieć, o co mi chodzi. Może pojmiecie, dlaczego to tajemne stowarzyszenie, Klub Julietty, nie jest tak niewinne, jak mogłoby się wydawać.

Uwierzcie mi, jeśli powiem wam, że udało mi się spenetrować — wybaczcie mi mój język — wąskie grono członków tego właśnie klubu?

Nie chodzi o to, że należę do Klubu Julietty. Jestem studentką trzeciego roku college'u. Jako główny kierunek wybrałam filmoznawstwo. Nie jestem nikim wyjątkowym, tylko zwykłą dziewczyną, która jak każdy człowiek ma swoje potrzeby i pragnienia.

Pragnę miłości. Bezpieczeństwa. Szczęścia.

I zabawy. Uwielbiam się bawić. Lubię się dobrze ubrać i ładnie wyglądać, ale nie gustuję w drogich ubraniach. Jeżdżę małą używaną hondą hatchback, wożąc na tylnej kanapie szpargały, których nie mam czasu uprzątać. Rodzice podarowali mi hondę na osiemnaste urodziny i gdy wyjeżdżałam do college'u, zapakowałam do niej wszystkie swoje rzeczy. Zostawiłam za sobą przyjaciół, których znałam od dziecka; część z nich została w tyle i ciężko mi się z nimi dogadać, inni na zawsze pozostaną w

moim życiu. Poznałam też nowych, którzy otworzyli mi oczy na wiele rzeczy i poszerzyli moje horyzonty.

Od tej chwili nie będę zachowywała się jak mądrąla. Od teraz będę skromna jak dziewczyna z sąsiedztwa. Bo prawda jest taka, że do tej pory mogłam sobie jedynie wyobrażać, że zajmuję uprzywilejowaną pozycję.

Mam seksualną fantazję, która nie daje mi spokoju. Nie, nie chodzi o pieprzenie się z Donaldem Trumpem w jego prywatnym odrzutowcu na wysokości dziesięciu tysięcy metrów nad Saint-Tropez. Nie ma nic bardziej odrażającego. Moja fantazja jest dość przyziemna — prozaiczna i intymna.

Kilka razy w tygodniu odbieram z pracy mojego chłopaka i czasami, kiedy siedzi do późna i zamyka biuro, marzę o tym, żeby zabawić się z nim w gabinecie jego szefa. Oczywiście nigdy tego nie zrobiliśmy. Ale przecież mogę pomarzyć, prawda?

Jego szef jest senatorem, albo raczej odnoszącym sukcesy prawnikiem i potencjalnym senatorem. Jack, mój chłopak, pracuje w jego sztabie wyborczym. Studiuje też ekonomię. Przez to wszystko nie mamy dla siebie zbyt wiele czasu, bo kiedy Jack kończy pracę, jest tak zmęczony, że niemal od razu zasypia na kanapie. Wczesnym rankiem wstaje na zajęcia, więc zwykle nie mamy czasu nawet na szybki numerek. A przecież nie samą pracą człowiek żyje.

Tak więc fantazjuję o byciu oddaną dziewczyną i krok po kroku odgrywam w myślach dobrze znany scenariusz. Ubieram się specjalnie na tę okazję. Pończochy, szpilki i mój ulubiony dwurzędowy trencz w kolorze khaki, taki

sam, jaki nosi Anna Karina w *Made in U.S.A.* Godarda. Pod nim mam tylko bieliznę; może zwykły czarny biustonosz i majtki, pas do pończoch i podwiązki. Albo jestem topless, mam na sobie jedynie białe podkolanówki i słodkie różowe majteczki w kropki, które tak bardzo go podniecają. Równie dobrze mogę iść w samych szpilkach i mieć na sobie wyłącznie seksowną jedwabną halkę albo szyfonową koszulkę. A do tego szminkę w kolorze rubinowej czerwieni. Czerwona szminka to podstawa. Najlepsza przyjaciółka dziewczyny.

Sztab wyborczy znajduje się na parterze od ulicy, w centrum miasta. Pomieszczenie jest przeszklone, a światła palą się całą noc, tak by przechodnie widzieli przyklejone do szyb rzędy identycznych czerwonych, białych i czarnych plakatów, na których szef Jacka szczyrzy się do kamery, i hasła:

## GŁOSUJ NA ROBERTA DEVILLE'A

Tak więc jedynym miejscem, gdzie możemy znaleźć odrobinę intymności, jest pomieszczenie gospodarze, łazienka albo gabinet, w którym Bob — DeVille lubi, kiedy ludzie zwracają się do niego Bob — przesiaduje, gdy akurat jest w sztabie wyborczym, co nie zdarza się zbyt często. Gabinet znajduje się na tyłach budynku, obok wyjścia na parking, tak więc Bob może wchodzić i wychodzić niepostrzeżenie, zamiast korzystać z głównego wejścia, które prowadzi wprost na ulicę, gdzie każdy może go



zobaczyć.

Jestem pewna, że w biurze musi być co najmniej kilka osób, które mają ochotę pieprzyć się w łazience albo pomieszczeniu gospodarczym w godzinach pracy, z nadzieją, że nikt ich nie przyłapie. Ja do nich nie należę, zwłaszcza że mamy całe biuro wyłącznie dla siebie. Poza tym Jack zwykle wpuszcza mnie tylnym wejściem prowadzącym bezpośrednio na parking, gdzie zostawiam samochód, no a gabinet... po prostu tam jest.

Powinnam powiedzieć to jeszcze raz, bo naprawdę nie chcę, żebyście mnie źle zrozumieli: nigdy tego nie zrobiliśmy. Ja i Jack nawet o tym nie rozmawiamy. Nie wiem też, czy miałyby na to ochotę. Ale w mojej fantazji, kiedy tylko wchodzimy do gabinetu, zamykamy drzwi i gasimy światła; gdy pocałunki i pieszczoty dobiegają końca, to ja przejmuję kontrolę.

Popycham go na fotel, luksusowy skórzany obrotowy fotel Boba, i robimy to tam, na „fotelu władzy”. Mówię mu, żeby nie wstawał, nie dotykał się i nie ruszał z miejsca, i urządzam mały striptiz, żeby się przed nim pochwalić. Najpierw rozwiązuję pasek i zsuwam płaszcz z ramienia, by odsłonić fragment skóry. Na chwilę odchylam jedną stronę trenca, a drugą przyciskam do ciała, by dać Jackowi przedsmak tego, co czeka pod spodem. Odwracam się do niego plecami i leniwym ruchem zrzucam płaszcz na podłogę, pochylam się i dotykam palców u stóp, żeby wiedział, dokąd trafi, jeśli będzie grzecznym chłopcem i zrobi to, co mu każę.

Kutas Jacka jest twardy, jeszcze zanim zdejmę mu spodnie. Kiedy to robię, widzę wyraźne zgrubienie rysujące się pod bawełnianymi bokserkami.

Teraz nadchodzi czas na bliższy kontakt. Jack nadal jednak nie może mnie dotykać. Staję przed fotelem, na którym siedzi, i wciąż odwrócona do niego plecami, siadam mu okrakiem na kolanach. Chwytam podłokietniki i ocieram się pupą o krocze Jacka, z początku delikatnie, potem coraz mocniej. W końcu siadam na nim, ściskam go pośladkami, czując, jak napina się i rośnie, napierając na moją...



Ale odbiegam od tematu. Chodzi o to, że nie miałam absolutnie żadnego interesu w przebywaniu tam, w Klubie Julietty, pośród tych wszystkich ludzi. Żeby się do niego dostać, nie musiałam odpowiadać na ogłoszenie zamieszczone na stronie Craigslist ani nie poszłam na rozmowę kwalifikacyjną.

Powiedzmy, że miałam talent, siłę perswazji i apetyt.

No i zostałam zauważona.

Możemy bez końca wyklócać się o to, co jest ważniejsze — geny czy wychowanie — ale ten talent nie był czymś, z czym się urodziłam. A przynajmniej nie byłam tego świadoma. Nie, to coś, z czego zdałam sobie sprawę. Drzemał we mnie od dawna, zakodowany, ukryty niczym tajny agent prowadzący normalne życie, który nagle został wezwany do akcji.

Teraz, kiedy wam o tym powiedziałam, jak wytłumaczę, co stało się tamtej nocy? Pierwszej nocy, gdy trafiłam do

Klubu Julietty.

## 2



Pierwsze, czego dowiadujemy się na zajęciach z filmoznawstwa, to:

Fabula jest zawsze drugorzędna w stosunku do bohatera. Zawsze, zawsze, zawsze, bez wyjątku.

Każdy prawdziwy wykładowca pisania kreatywnego powie wam dokładnie to samo i każe powtarzać te słowa tak długo, aż nauczycie się ich na pamięć.

Jako główna zasada rządząca fikcyjnym światem jest ona równie niezmienna, jak teoria względności Einsteina. Bez niej cała struktura runie jak domek z kart.

Weźcie dla przykładu jakikolwiek klasyczny film (albo w ogóle jakikolwiek film), choćby *Zawrót głowy*, który każdy student filmoznawstwa powinien znać na wylot. Scottie, bohater grany przez Jimmy'ego Stewarta, jest detektywem, którego pełna determinacji pogoń za prawdą w połączeniu z paraliżującym lękiem wysokości i graniczącą z nekrofilią obsesją na punkcie martwej blondynki — jego piętą Achillea — sprawiają, że pada on ofiarą oszustwa.

Załóżmy więc, że Scottie jest gliniarzem ze słabością do słodyczy. Coś takiego brzmi bardziej realistycznie, ale to by się nie sprawdziło, ponieważ byłby wtedy gliniarzem, którego ciągnie do sklepu z pączkami zamiast do femme fatale, a Hitchcock nie miałby pomysłu na film.

Teraz widzicie? Fabuła jest drugorzędna w stosunku do bohatera.

Weźmy inny przykład. *Obywatel Kane*. Film uznawany przez krytyków za najlepsze dzieło filmowe, zresztą nie bez powodu, bo rzeczywiście ma wszystko, co mieć powinien: podteksty, mistrzowską reżyserię, scenografię, zdjęcia i to, co sprawia, że film jest dziełem sztuki, a nie rozwlekłą reklamą Microsoftu, Chryslera czy Frito-Lay, jak większość dzisiejszych produkcji.

Tak więc *Obywatel Kane* to historia magnata prasowego, Charlesa Foster'a Kane'a, zgubionego przez nieposkromioną pychę i ambicję, które zaprowadziły go na szczyt i wynikały z kompleksu matki, umniejszającego jego osiągnięcia, kładącego się cieniem na małżeństwie Kane'a i ostatecznie rujnującego mu życie.

Potępiiony, zamknięty w błędnym kole, które sięga do najgłębszych zakamarków jego psychiki, biedny stary Charlie umiera samotny i niekochany tylko dlatego, że nie potrafił oderwać się od maminego cycka.

A może nie chodziło tu o cycka... Ostatnie wypowiedziane przez niego słowo, kiedy wypuszcza z dłoni szklaną kulę — albo kryształową kulę, w której nie dostrzegł swej najbliższej przyszłości i tego, że jego życie nie jest popieprzone, tylko skończone — to „Różyczka”. To ostatnie

słowo, jak głosi legenda, było przemyconą przez Orsona Wellesa sprytną aluzją do pieszczotliwego imienia, którym William Randolph Hearst (pierwowzór Charlesa Fostera Kane'a) określał pochwę swojej kochanki.

Różyczka. Pierwsze słowo, jakie pada w filmie, i ostatnie, jakie widzimy, namalowane na dziecięcych sankach wrzuconych do pieca na pastwę płomieni, które liżą je i pożerają.

Ktoś, kto zna tę historię, już nigdy nie spojrzy na *Obywatela Kane'a* w ten sam sposób. Słyszy „Różyczka”, widzi „Różyczka”. Myśli „cipka”.

Sądziacie, że Orson Welles próbował widzom coś powiedzieć? Ja uważam, że próbował przekazać nam jedynie to, że Charles Foster Kane był prawdziwym skurwielem. I to było źródłem wszelkich jego problemów, czemu trudno się dziwić.

Widzicie? Fabuła jest zawsze drugorzędna w stosunku do bohatera.

Nie zapominajcie o tym.

Tak na marginesie: jest jeden rodzaj filmów, wyłącznie jeden, który nie stosuje się do tej zasady. Jedyne gatunek, który jawnie ją łamie. Nie tylko łamie, ale też całkowicie zmienia. Tylko dlatego, że jest to możliwe. I ma to gdzieś. Mówię tu o filmach porno.

Ale tym zajmiemy się później.

W każdym razie uświadomiłam sobie, że zasada ta ma zastosowanie zarówno w rzeczywistości, jak i w fikcji. Nie tylko w filmach to, co się nam przytrafia, jest drugorzędne w stosunku do tego, kim jesteśmy, jak się zachowujemy i

jakie mamy motywacje. Odkryłam, że te same prawa rządzą naszym życiem, dokonanymi wyborami i drogami, na które wkraczamy.

Ta, na którą ja weszłam, jest ukryta przed waszym wzrokiem. Nie jest to droga wybrukowana żółtą kostką, zagubiona autostrada ani dwupasmowa asfaltówka. Nie wiedziałam nawet, że na nią weszłam, dopóki nie dotarłam na miejsce, obejrzałam się za siebie, zobaczyłam, jak daleko zasłam, i uświadomiłam sobie, że przez cały ten czas wybory, których dokonywałam, i ścieżki, w które skręcałam, prowadziły mnie do tego właśnie miejsca.

Sprawa wygląda więc tak: żeby wytłumaczyć wam, jak dostałam się do Klubu Julietty, muszę zacząć od początku.

Nie od samego początku. Żenujące zdjęcia z dzieciństwa zostawimy na inną okazję. Podobnie jak wszystkie podkolorowane wspomnienia z dzieciństwa, które dały początek traumom prześladowającym mnie po dziś dzień. Jak to, kiedy zsikałam się w spodnie w szkółce niedzielnej, kiedy siostra Rosetta opowiadała nam o Noem i jego arce.

Tak więc nie, niezupełnie od początku, ale całkiem blisko.

No i muszę powiedzieć wam coś o sobie, mojej osobowości, o mojej pięcie Achillesa. Muszę zacząć od Marcusa, wykładowcy, w którym się podkochuję.

Bo czyż każda dziewczyna potajemnie nie wzdycha do jakiegoś faceta? Kogoś bez znaczenia, na kogo może przenieść swe najdziksze fantazje seksualne. Dla mnie takim mężczyzną był Marcus, który, choć nie zdawał sobie z tego sprawy, stał się moją obsesją, odkąd pierwszy raz weszłam na jego zajęcia.

Marcus... Cudowny, rozczochrany, przystojny, nieśmiały — do tego stopnia, że wydawał się wyniosły — i poważny. Marcus, który fascynował mnie od chwili, gdy go zobaczyłam. Nic nie rozpała kobiecej ciekawości bardziej niż chłodny mężczyzna, którego trudno rozgryźć, zwłaszcza jeśli chodzi o seks. Nie miałam pojęcia, co o nim myśleć.

W teorii filmu funkcjonuje termin „szał widzialności”. Ma to coś wspólnego z przyjemnością. Ogromną przyjemnością, którą czujemy, patrząc, widząc i rozumiejąc oczywiste prawdy dotyczące istnienia ciała i jego funkcjonowania, przedstawione na dużym ekranie.

Właśnie tak działa na mnie Marcus. Kiedy siedzę w pierwszym rzędzie w sali wykładowej, gdzie mogę go swobodnie oglądać na tle białej tablicy do pisania, oświetlonego światłami fluorescencyjnymi równie jasnymi jak lampy łukowe na planie filmowym. Na wszystkich zajęciach siedzę w tym samym miejscu, w pierwszym rzędzie wielkiej auli, z czterdziestoma rzędami krzesel, na samym środku, naprzeciw jego biurka, skąd nie może mnie nie zauważyć. A jednak Marcus rzadko mnie dostrzega. Prawie w ogóle na mnie nie patrzy, a gdy mówi, zwraca się do wszystkich — absolutnie wszystkich — z wyjątkiem mnie, przez co czuję się, jakby mnie tam nie było, jakbym nie istniała.

On tam jest, a mnie nie ma. To doprowadza mnie do szału — „szału widzialności”.

I zastanawiam się, czy nie udaje nieprzystępnego dlatego, że ja nie ukrywam swojego zainteresowania nim.





W dni, kiedy mam zajęcia z Marcusem — poniedziałki, wtorki i piątki — ubieram się dla niego. Dziś nie jest inaczej. Mam na sobie obcisłe dżinsy, które podkreślają moją pupę, biustonosz z fiszbinami, unoszący biust i go nieściskający, podkoszulek w niebiesko-białe paski, eksponujący moje krągłości, i granatowy rozpinany sweter, w którym są jeszcze bardziej widoczne.

Chcę, żeby zauważył moje piersi i pomyślał o Brigitte Bardot w *Pogardzie*, Kim Novak w *Zawrocie głowy* albo Sharon Stone w *Nagim instynkcie*.

Czy to wystarczająco oczywiste?

Mam nadzieję.



Tak więc dziś jak zwykle siedzę na zajęciach, udaję, że robię notatki, i wzrokiem rozbieram Marcusa. On mówi o Freudzie, Kinseyu i Foucaulcie, o sztuce filmowej i kobiecym spojrzeniu, podczas gdy ja gapię się na wypukłość jego kutasa wyraźnie widoczną pod obcisłym materiałem brązowych spodni od garnituru.

Przysiadł na brzegu biurka, wyciągając jedną nogę przed siebie, tak że tworzy z drugą niemal idealny kąt prosty. Gryzę ołówek i patrząc na szew jego spodni po wewnętrznej stronie ud, próbuję odgadnąć wielkość, długość i szerokość.

Starannie zapisuję liczby w górnym prawym rogu żółtej kartki notatnika, na której po dwudziestu minutach zajęć widnieją jedynie nic nieznaczące bazgroły. Jestem pod

wrażeniem tych liczb, ponieważ Marcus najwyraźniej ma kutasa, który odpowiada rozmiarem jego mózgowi.

Nie powinno mnie to dziwić. W końcu dokonywałam tych obliczeń już ze sto razy. Na każdych zajęciach, rutyna. I jakimś cudem zawsze otrzymuję ten sam wynik. Zupełnie jakbym za każdym razem trafiała najwyższą wygraną. Strasznie mnie to kręci.

Jak już mówiłam, Marcus nie zwraca na mnie uwagi. Wydaje mu się, że jestem zaabsorbowana jego wykładem. Nie chodzi o to, że nie interesuje mnie temat zajęć albo że go nie słucham. Chłonę każde jego słowo, choć z drugiej strony jestem strasznie rozkojarzona. To się nazywa podzielność uwagi.

Marcus mówi o Kinseyu i wniosku płynącym z jego przełomowych badań nad seksualnością, zgodnie z którym kobiety nie reagują na bodźce wzrokowe tak jak mężczyźni, a czasami nie reagują wcale. Pozwalam sobie mieć na ten temat odmienne zdanie. Myślę, że gdyby Marcus wiedział, jak na mnie działa, też by je zmienił.

Przechodzi płynnie od Kinseya do Freuda — kolejnego starego zbrojeńca z dziwnymi teoriami na temat kobiecej seksualności — i tym razem naprawdę mnie intryguje.

Pisze na tablicy KASTRACJA i ZAZDROŚĆ O PENISA. Podkreśla wszystko dwukrotnie i czyta głośno dla lepszego efektu. Myślicie pewnie, że coś takiego zaburzy moje fantazje?

Nic podobnego.

Musicie wiedzieć, że Marcus ma głos jak brązowy cukier — łagodny, mroczny, głęboki. Słuchając go, topię się jak

wosk. Najbardziej lubię, gdy wymawia słowa, które nie mają w sobie nic seksownego. Wydają się precyzyjne, zimne i naukowe, ale w ustach Marcusa brzmią jak sprośności wypowiedziane w inteligentny sposób.

Na przykład:

Upodlenie.

Katharsis.

Semiotyka.

Sublimacja.

Triangulacja.

Retoryka.

Prototyp.

I ostatnie — ale nie mniej ważne — moje ulubione słowo, które przebija wszystkie inne:

Hegemonia.

Kiedy Marcus mówi, to z takim przekonaniem, że ma nade mną całkowitą władzę i czuję, że mogłabym zrobić wszystko, o co by mnie poprosił.

Tak więc gdy mówi „zazdrość o penis”, mam wrażenie, że słyszę: „Zerżnij mnie”.

I chociaż na mnie nie patrzy, wiem, że mówi do mnie, wyłącznie do mnie.

Moje zauroczenie Marcusem nie ma nic wspólnego z Jackiem. Kocham Jacka, i tylko Jacka. To taka zabawa, romantyczny epizod, który wymyśliłam, żeby rozerwać się na zajęciach. Fantazja o podtatusiałym kochanku-nauczycielu, która sprawia, że jestem napalona i zapominam o wszystkim, kiedy kończy się wykład.

Tym razem niespecjalnie daję się ponieść wyobraźni.

Patrzę na muskularne ramiona Marcusa, jego długie, umięśnione nogi i wyobrażam sobie, jak by to było, gdyby owinał je wokół całego mojego ciała, niczym pająk, który oplata muchę, szykując się do uczty. Chcę, żeby tak właśnie mnie trzymał, pożerał. I zastanawiam się, czy pieprzy równie fachowo, jak opowiada o psychoanalizie, semiotyce i teorii kina autorskiego.

To pytanie na chwilę pojawia się w mojej głowie.

Odpowiedź przychodzi niespodziewanie, gdzieś z tyłu, i brzmi jak konspiracyjny szept.

— To dziwak.

Odwracam się i spoglądam prosto w jasne, niemal błyszczące zielone oczy i na pełne, zmysłowe usta, rozciągnięte w kokietyrjnym uśmiechu. Tak oto poznaję Annę. Nachyla się do mnie i nie bacząc na Marcusa, szepcze mi do ucha.

Znam ją, to oczywiste. Chodzimy razem na zajęcia. Anna jest blondynką, drobną i ponętą; superlaską, za którą wszyscy się oglądają. Z takimi dziewczynami wszyscy chcieliby się przyjaźnić i każdy facet chciałby taką przelecieć.

Wychowałam się w rodzinie katolickiej i zostałam nauczona, że seks jest czymś, w czym nie należy szukać przyjemności. Dopiero gdy zaczęłam spotykać się z Jackiem — długo po tym, jak straciłam dziewictwo — przestałam walczyć sama ze sobą i zaczęłam czerpać przyjemność z seksu.

Patrzę na Annę i widzę kogoś, kto lubi swoje ciało, seksualność i władzę, jaką daje ona nad ludźmi. W

przeciwieństwie do mnie nie wygląda na kogoś, kto miałby jakiegokolwiek zahamowania. Lubi flirtować, jest wyzwolona, odprężona i zawsze się uśmiecha. Intryguje mnie.

Czy spotkaliście kiedyś kogoś i w chwili, gdy skrzyżowały się wasze spojrzenia, kiedy usłyszeliście jego głos, pomyśleliście, że będziecie przyjaciółmi?

To właśnie poczułam, gdy powiedziała: „To dziwak”. Zupełnie jakbym słyszała siebie, jakby dokładnie wiedziała, o czym myślę. I mnie rozumiała.

— Skąd wiesz? — szepczę.

— Skąd wiem co? — pyta.

— Że jestem w nim zadurzona.

— To oczywiste — odpowiada. — Ze sposobu, w jaki na niego patrzysz.

I tak już będzie między nami. Połączy nas sekretna więź.

Kiedy poznałam Annę, nie wiedziałam, że już pieprzyła się z Marcusem.

Tak więc przy nielicznych okazjach, gdy zerkał w moją stronę i chciałam wierzyć, że patrzy na mnie...

Cóż, myliłam się.

Patrzył przeze mnie.

Na nią.